

Marcin Wroński

Mons 44

Gustav Glaubner drżał razem z całą ziemią – mokrą i rozdygotaną wybuchami granatów. Ta sama breja miała kiedyś urodzić niemieckie ziarno na niemiecki chleb – jak obiecywał Wódz. Jednak gdy Glaubner leżał twarzą w błocie, a w ustach czuł smak ziemi i krwi, nie wierzył w Niemcy ani w Wodza. Nie miał w głowie żadnych narodowosocjalistycznych myśli, tylko kulił się w nadziei, że wojna nie zauważy go i kolejny granat rozerwie się gdzieś obok, zabije kogoś innego. Nagle coś ciężkiego spadło mu na plecy. Odłamek? Nie, czułby wtedy gorąco. Ostrożnie odwrócił głowę, spojrzął spod hełmu. To Mathias Hitz leżał przy nim i otwartą dłonią walił go w łopatkę.

– Co?! – zapytał Gustav.

– Dwie minuty!

Tak, za dwie minuty przestanie się kulić i pobiegnie naprzód albo oficer rozwali go na miejscu. Oficerowie niemieccy nauczyli się tego od sowieckich. Podobnie jak wielu innych pożytecznych rzeczy, choćby zmasowanego używania czołgów. Gdyby tu były czołgi! Gdybyż pojawił się *Sturmgeschütz* albo choć byle co!

– Nie bój się, Bóg z nami – zaśmiał się Mathias, klepiąc dłonią klamrę pasa. Ale wyryty na niej napis *Gott mit uns* całkiem zniknął pod lepkiem błotem. Nagle Hitz umilkł i z otwartą gębą zapatrzył się w niebo.

Tak, niebo na tej wojnie bywało ciekawym miejscem do patrzenia. Gdy ziemia drży od pocisków, nie od gąsienic tygrysów, niekiedy takie spojrzenie wywabia zza chmur kilka messerschmittów. Przynajmniej tak zdarzało się jeszcze dwa lata – rok temu, póki *Gott* i Wódz nie schowali się każdy w swoim bunkrze, coraz rzadziej zsyłając pociechę. Jednak Gustav podążył za wzrokiem Mathiasa i też zastygł z otwartymi ustami. Bo oto nad nimi otworzyły się wrota niebios i wyszli z nich aniołowie. Pierwszy wskazał mieczem ognistym sowieckie pozycje, a na ten znak cały anielski pluton spokojnie ruszył do ataku. Rusczy przerwali ostrzał i zapadła taka cisza, jaką Glaubner słyszał tylko, gdy topił się w Wiśle. Cisza, jakby czas stanął. Przerwał ją Hitz.

– *Ach, du Scheiße!* – zaklął, ale jego głos rozbrzmiewał zachwytem. – Widzisz to?! Widzisz? Za Boga i Wodza! – Podniósł się, chciał poderwać z błota także Gustava, jednak ten nie był w stanie wstać z klęzek przygnieciony cudownym widokiem. Wojownicy Pana szli przesłonięci nieco dymem, a ich dowódca wciąż wskazywał mieczem wschód.

– Ty świński tchórze! – Mathias pobiegł za aniołami.

* * *

– Leni, to lepsze niż berliński stadion! – zachwycił się Otto Lautschner, kadrując ścianę kamieniołomu w ramkę z dłoni i kciuków. Pochłonięty tym obrazem oddalił się kilka kroków, sprawdził odczyt światłomierza i znów spojrzął na granitową skałę. Kobieta o nosie Kleopatry i niesfornych włosach na jakiś czas przestała go interesować. Zupełnie nie pasowała do tej scenerii, bo choć nosiła w duszy monumentalne wizje, choć była najlepszym filmowcem III Rzeszy, to z wyglądu pasowała raczej do roli pasterki. A dla operatora wygląd to podstawa. Została więc sama na środku krateru, z którego tysiące rąk i kilofów wyrwały tony skał. Spojrzała niepewnie na równy szereg więźniów w pasiakach, z cudacznymi, okrągłymi czapkami na głowach i z kolorowymi winklami na piersiach. Wprawdzie esesmani trzymali ich z daleka, ale mimo to bała się tych ludzi. Niedobrze, bo właśnie oni mieli grać w jej nowym filmie – piątym, o który osobiście

poprosił ją Wódz, ale też pierwszym, o którym nie dowie się ani prasa, ani nawet koledzy.

– Pani Riefenstahl! – Oficer SS stanął przy niej i wskazał ręką więźniów. –

Powinniśmy zacząć. Wyselekcjonowaliśmy dla pani tylko młodych, zdrowych, wysokich Aryjczyków.

Niepewnie ruszyła za nim, a dzikie, głodne spojrzenia przeszywały Leni jak aparaty rentgenowskie.

– Reszta należy do pani. Amerykanie mówią chyba na to *casting*? – Esesman uśmiechnął się jak Rudolf Valentino na fotosie „Krwi i piasku”.

Więźniowie patrzyli wrogo, jednak stali spokojnie, nie pokazując po sobie żadnej nadziei ani ambicji. Nie tak powinni wyglądać aktorzy szukający angażu – pomyślała Leni. W każdym razie ona nie tak patrzyła na reżysera Fancka, gdy ważyły się losy jej roli w „Świętym szczyście”. Tamtego dnia kontuzjowane kolano bolało jak diabli, przypominając, że koniec z tańcem, koniec ze sceną, że teraz już albo-albo. Dlatego mimo cierpienia była gotowa ubrać twarz w każde uczucie, jakiego zapragnąłby Fanck, a każdy jej uśmiech i każda łza wyglądały piękniej niż prawdziwe. A ci tutaj? Zrobiliby wszystko, czego się od nich zażąda, jednak z wdziękiem kukieł. Tak, był taki film, do którego pasowali – „Metropolis”, tyle że zrobił go już Lang szesnaście lat wcześniej, a ona zamierzała kręcić coś zupełnie innego! Przejechała wzrokiem po szeregu mężczyzn w pasiakach. Wszyscy wyglądali tak samo. Nagle parsknęła stłumionym śmiechem.

– Czy coś jest nie w porządku? – zapytał uprzejmie oficer.

– Przepraszam. To tylko takie skojarzenie.

– Proszę powiedzieć, pani Riefenstahl.

– Wyglądają jak stado zebra. Wszyscy tacy sami. Chyba tylko oni potrafią się rozróżniać. Rozbawiło mnie, że pewnie wy nie potraficie?

Esesman zaśmiał się tak serdecznie, że gdyby nie stałe ten sam lodowaty wyraz oczu, pewnie nawet ona dałaby się nabrać na jego wesołość.

– Istotnie, pani Riefenstahl, nie potrafimy. Dlatego mają numery.

– A gdyby nie przebierać ich za zebry?

– Wtedy obozowi krawcy nie mieliby zajęcia – odpowiedział wyrozumiale, choć jego źrenice rozszerzyły się w zdziwieniu jak puste oczodoły *Totenkopfa* na esesmańskim otoku. Nie pierwszy raz stuprocentowy nazista patrzył tak na nią, pół- czy ćwierćnazistkę, nie dowierając, że to właśnie ona nakręciła „Triumf woli”.

– Czapkiiii zdjęć! Kurtkiiii zdjęć! Koszuleeee zdjęć! – wydarł się podoficer, a funkcyjni więźniowie powtórzyli to jak echo.

Leni przeszła wzdłuż szeregu. Bez pasiaków dalej byli nie do rozróżnienia. Nie patrzyła więc na ich sylwetki, tylko w oczy – czy jest w nich ta wola gry, wyjścia poza siebie i całkowitego wejścia w rolę, jak w niej przed „Świętym szczytem”. Musiała aż kilka razy chodzić w tę i z powrotem, aby wybrać dwudziestu cokolwiek obiecujących. Nie, to z pewnością nie będzie film na miarę jej talentu! Może więc dobrze, że nikt się nie dowie, kto go kręcił...

Oficer dostrzegł jej niezadowolenie, ale taktownie milczał. Jednak to właśnie on po chwili rozproszył zły nastrój Leni, gdy więźniowie podeszli do skrzyni z kostiumami.

– Skrzydłaaaa włóż! – krzyknął z porażająco poważną miną.

Roześmiała się. Nawet ten Żyd Chaplin nie zagrałby tego lepiej!

* * *

Doktor Bruno Fehr już od kilku lat próbował wyjednać spotkanie z Himmlerem lub choćby Goebbelsem, ale odkąd w 1939 Karl Wiligut z powodu „podeszłego wieku” musiał opuścić SS, a Otto Rahn „popęłnił samobójstwo”, całe komando *Ahnenerbe* poszło w odstawkę. Słusznie, niemiecką duchowość powinni kształtować zdrowi Aryjczycy, nie szaleńcy i pederasty. Jednak losy wojny nie ułożyły się jak w „Mein Kampf” i dziś nawet oni byłiby III Rzeszy bardzo przydatni. Fehr mimo rozpacz i upokorzenia powoli zaczął już godzić się z faktem, że jako uczeń i bliski współpracownik Rahna został na zawsze zepchnięty na boczny tor. Ale pewnego jesienno dnia 1944 roku nieoczekiwanie wywołano go z wykładu i dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach jednocześnie wskazali mu otwarte drzwi mercedesa:

– Polecono nam zawieźć pana do Kancelarii Rzeszy.

Godzinę później stał u szczytu stołu, przy którym zasiedli minister propagandy Goebbels, minister spraw wewnętrznych SS-*Reichsführer* Himmler i szef sztabu Wehrmachtu feldmarszałek Keitel.

– A mówiłem panom, że jeszcze usłyszycie o SS-*Ahnenerbe* – zagaił żartobliwie Himmler. – Oto jej członek, doktor Bruno Fehr, historyk. Opowie nam o swoim projekcie, zanim o nim zapomni. Szybko zapomni. To jasne, Fehr?

– Tak jest, *Reichsführer*.

– Zatem proszę zaczynać.

Zaczynać! Nie tak łatwo zacząć referować coś, co przygotowywało się od lat – z coraz mniejszą wiarą, że ktoś będzie tego słuchał. Czy powiedzieć na początek zwyczajnie: Pozwólcie, panowie..., czy może: Dziś Tysiąclecie Rzesza...? Fehr przetarł okulary i oparł rękę na swoim notesie, jakby miał przysięgać na Biblię.

– Od prawie dziesięciu lat badam tajną, można by rzec, boczną historię wojen. – Odchrząknął. – Interesują mnie niedocenione przez sztabowców rozwiązania taktyczne i techniczne. Zwłaszcza boczna historia poprzedniej wielkiej wojny może oddać nam nieocenione usługi. Odkąd Sowieci stanęli na linii Wisły, sytuacja na froncie wschodnim przypomina to, co działo się w 1914 roku pod Mons. Wówczas, jak panom wiadomo, dowództwo niemieckie przerwało front, zmuszając Brytyjczyków i Francuzów do wycofania się. A jednak nie zdołaliśmy wdrzeć się wystarczająco głęboko i wróg zatrzymał nas na swych dalszych pozycjach obronnych. Gdyby, panowie, ówczesny atak przebiegł prawidłowo, dziś pewnie nie musielibyśmy o nim rozmawiać, bo już żadna wojna nie byłaby Niemcom potrzebna. Ale i teraz, gdyby nasze wojska przerwały front wschodni, odcinając Sowiecom linie zaopatrzenia, znów zmusilibyśmy ich do obrony jak w 1941...

Keitel ziewnął i zapalił papierosa. Fehr zrozumiał, że pora przejść do konkretów.

– W 1914 pod Mons Brytyjczycy i Francuzi wycofali się, ale nie uciekli w panice, ponieważ stała się rzecz, która w cudowny sposób podtrzymała ich morale. Otóż, osłaniali ich aniołowie. Dokładniej, oni myśleli, że pomagają im aniołowie – pospiesznie wyjaśnił, widząc, że feldmarszałek ze śmiechu zakrztusił się dymem. – W rzeczywistości zobaczyli tylko film: białe postaci ze skrzydłami wyświetlone przez projektor z naszego samolotu. I tu właśnie dochodzimy do istoty rzeczy! Ów film miał wspomóc morale naszych wojsk, jednak ktoś popełnił wówczas karygodny błąd: założono odwrotnie taśmę. I jak w lustrzanym odbiciu prawa strona stała się lewą, a lewa prawą. Anioły zamiast mierzyć we wroga mierzyły w nas. Jednak mimo tej katastrofalnej pomyłki jest jasne, że film spełnił swoje zadanie psychotechniczne. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, nasze wojska zatrzymałyby się dopiero w Paryżu.

– Ma pan jakieś dowody?

– Jeśli pan feldmarszałek pyta o archiwa sztabowe, to nie. Po niepowodzeniu operacji wszystkie dokumenty zostały zniszczone. Poszlaką może być jednak legenda o aniołach osłaniających żołnierzy, która szerzyła się wśród Francuzów i Brytyjczyków walczących pod Mons. Aby ją ośmieszyć, nasz wywiad opłacił pewnego grafomana nazwiskiem Machen. – Fehr zajrzał do notesu. – Arthur Machen. W londyńskim dzienniku „Evening Standard” zamieścił on opowiadanie fantastyczne „Łuczniczy” o rzekomym cudzie, a potem wielokrotnie zapewniał, że była to fikcja, którą sam wymyślił, a nie usłyszał od żołnierzy. Zatem świadkowie tamtego wydarzenia zamilkli i nie istnieje żadna publikacja, w której wypowiadałby się o tym któryś z weteranów. Osobiście wiem tylko o jednym, który, być może, mógłby o tym zaświadczyć. Niemniej aniołowie działali pod Mons. I gdyby zechcieli nam pomóc nad Wisłą, śmiały atak mógłby całkowicie zmienić układ sił tej wojny. Należałoby tylko nakręcić nowy film i wyświetlić go z samolotu naszym żołnierzom.

Keitel spojrział na obu ministrów. Milczeli i słuchali. Cóż, widocznie tylko on tutaj wierzył w armaty, nie w duchy.

– No wie pan! W kinie oprócz projektora potrzebny jest ekran.

– Ekran, panie feldmarszałku, jest potrzebny, aby obraz był jasny i wyraźny. – Fehr nie dał się zbić z tropu, a nawet przeszedł do ostrożnej kontrofensywy. – A nam chodzi tylko o to, żeby było widać cokolwiek. Żadnych szczegółów, aniołowie to nie Marlena Dietrich i nikt nie będzie gapił się na ich...

...uda. – Ale to ostatnie słowo zatrzymał już dla siebie, gdy mina Himmlera przypomniała mu, gdzie jest i z kim rozmawia. O tej dekadencej zdrajczyni nie należało wspominać. Odchrząknął i podjął po chwili:

– Na potrzeby naszej akcji wystarczająco dobrym ekranem może być wilgotne powietrze, dym, chmura... Proszę spojrzeć! – Sięgnął do teczki i wyjął z niej mały projektor na slajdy. Zapaliła się żarówka i Keitel siedział teraz oko w oko z widmem Hitlera wysnuwającym się z jego własnego papierosa niczym dżin z lampy Aladyna. – Czy potrzeba więcej szczegółów, panie feldmarszałku? Czy gdyby żołnierze von Paulusa zobaczyli taki obraz w chmurze na niebie, oddaliby Stalingrad?